

Bezrobocie nie istnieje!

21 maja 2011

Przekonują o tym już nie tylko neoliberałowie, ale także niektórzy „społecznicy”, specjalizujący się w pomocy... bezrobotnym.

Byłem w totalnym szoku, gdy od dziewczyny zajmującej się w jednej z organizacji społecznych m.in. prowadzeniem szkoleń dla osób od dłuższego czasu pozbawionych pracy, usłyszałem, że nie wierzy ona w istnienie w Polsce bezrobocia. Dowodziła, że problem ogranicza się do tzw. postawy: wyuczonej bezradności, niewiary we własne siły, braku gotowości do podnoszenia kwalifikacji. Na wszystkie te bolączki odpowiedzią miałyby być „profesjonalnie prowadzone szkolenia”.

Przykład ten pokazuje, jaki słaby kontakt z rzeczywistością mają niektórzy z tych, którzy próbują ją zmieniać. Kto mając do wyboru specjalistę z praktyką zatrudni kogoś po krótkim kursie? Tym bardziej, że często są one wątpliwej jakości. Jednak nawet nie w tym rzecz. W niewielkich, ale i całkiem dużych miejscowościach często w ogóle nie ma pracy. Kiedy człowiek, choćby po najlepszym kursie, z nowymi nadziejami zaczyna pukać do drzwi firm i firemek, spotyka go gorzkie rozczarowanie. Osobiście zetknąłem się z niejednym specjalistą, nieraz po dobrych studiach, zamiatającym łódzkie ulice czy myjącym klatki w ogrodzie zoologicznym, z braku innych ofert. Pewna kobieta, która za państwowe pieniądze zawodowo pomaga szukać pracy, w następujący sposób skomentowała podobne przypadki: robotnik nie może być lekarzem, ale lekarz może być robotnikiem. Nie da się ukryć, pytanie tylko – po co ci ludzie pokończyli uniwersytety, notabene utrzymywane z publicznych środków, skoro teraz wykonują najprostsze możliwe prace? Piewcy samodoskonalenia z wydawałoby się przeciwnych obozów, społecznego i neoliberalnego, solidarnie wzywają do nieustannego „inwestowania w siebie”, podnoszenia kwalifikacji, co ma

stanowić najlepsze zabezpieczenie przed bezrobociem. Zapewne można w ten sposób w końcu zostać trenerem dla bezrobotnych, lub uzyskać dofinansowanie na własną budę z tanimi przekąskami czy kiosk z gazetami – bo mniej więcej na tyle starczą standardowe dotacje na podjęcie działalności gospodarczej, przyznawane przez pośredniaki.

O braku rzeczywistego bezrobocia mają świadczyć ogłoszenia o pracę. Długimi tygodniami można znaleźć na sklepowych witrynach informacje o poszukiwaniu sprzedawców, argumentował inny „społecznik”. Sęk w tym, że ów człowiek nigdy osobiście nie sprawdził, jak wygląda próba podjęcia pracy w sklepie. Niestety dla mego rozmówcy, próbowałem swoich sił w handlu. Po pierwsze, zaraz na wstępie potencjalny kandydat jest oceniany od stóp do głów, czy jest wystarczająco młody, zgrabny i błyskotliwy; Niestety, niewielka część bezrobotnych spełnia wszystkie te warunki. Po drugie, praca w handlu bywa tak nisko płaćta, że nie opłaca się jej podejmować. Uwzględniając bowiem koszt dojazdów, konieczność zapewnienia opieki nad dzieckiem czy ilość zdrowia utraconego w nadgodzinach – de facto trzeba do niej dopłacać...

Również dla znajomego właściciela niedużej firmy o braku bezrobocia miały świadczyć ciągle widywane przez niego ogłoszenia: „zatrudnię szwaczki”. Ba! Sami właściciele szwalni pomstowali w prasie na brak rąk do pracy. Rzeczywiście, w owym czasie w Łodzi poszukiwano kobiet do prac w szeroko rozumianej branży tekstylnej. Problem leżał jednak gdzie indziej: w powszechnym braku rejestracji oferowanego zatrudnienia, a co za tym idzie – braku ubezpieczenia emerytalnego, na okoliczność choroby lub wypadku. Szefowie oczekiwali od pracowników przynajmniej 10-godzinnej pracy, zdarzały się przypadki wymiany „czarnego” personelu bez wypłaty obiecanych pieniędzy... Czy w tych warunkach można wymagać od ludzi „podjęcia jakiegokolwiek pracy”, zwłaszcza jeśli mają równolegle dużo obowiązków domowych? Warto w tym miejscu dodać, że jeśli szukająca pracy bezrobotna jest jednocześnie

matką, nie ma zbyt dużych szans na przedszkole dla swojej pociechy. W ramach polityki (a)społecznej uznano, że skoro ktoś i tak siedzi w domu, to może zająć się dzieckiem, dlatego „z automatu” przesuwa się go na koniec kolejki oczekujących na przedszkole.

Jeśli mimo odbycia szkoleń i gotowości do zaakceptowania głodowej pensji nie udaje się znaleźć zatrudnienia we własnej miejscowości, sprawa jest oczywista: czas zmienić miejsce zamieszkania, np. przenosząc się do dużego miasta. Do tego, że takie tezy wygłaszają neoliberalowie, przywykłem już dawno, jednak ostatnio spotkałem się z taką opinią również u osoby, którą miałem za społecznie wrażliwą. Wyjazd! To brzmi fajnie, ale tylko dla kogoś, kto wyjeżdżał jedynie na wakacje. O wiele mniej przyjemne jest to dla opuszczającego ukochane strony, pozostawiającego rodzinę i przyjaciół (a więc i całą sieć nieformalnego wsparcia), zmuszonego w nowym miejscu wynająć mieszkanie (zwykle dużo droższe niż na prowincji)... W dzisiejszych czasach trudy rozłąki można niwelować Internetem i częstymi odwiedzinami – mają gotową odpowiedź zwolennicy przesiedleń za chlebem i pracą. Tylko że nawet najszybsze łącze internetowe nie zastąpi osobistego spotkania, a dojazd, nawet między dużymi miejscowościami, zajmuje dużo czasu, pozostawiając go niewiele na spotkania z bliskimi. Pomijam już koszty takich odwiedzin oraz fakt, że po ciężkim tygodniu pracy podróż w drugi koniec kraju bywa zwyczajnie męcząca. Cały czas wychodzimy tu przy tym z optymistycznego założenia, że pracę w innym mieście udało się zdobyć i utrzymać. Tymczasem dworce wielkich miast są okupowane przez tych, którym się nie powiodło, i to wcale nie z powodu wrodzonego nieudacznictwa czy „braku wystarczającej motywacji”, jak tłumaczą to sobie neoliberalowie i „społecznicy”.

Obawiam się, że część organizacji pozarządowych, które związane zostały w jak najszlachetniejszych celach, przez osoby, którym dobro ogółu jak najbardziej leży na sercu, uległa degrengoladzie. Jak to się stało? Zapewne sięgnięcie po

łatwe, unijne pieniądze sprawiło, że przyłączyło się do nich wiele osób, które zwyczajnie chciały się gdzieś „zaczeplić”. Inna sprawa, że coś niedobrego stało się ze starymi „ideowcami”; coś, czego nie potrafię wyjaśnić. Może to przejście na dość wygodne, pozarządowe etaty, w połączeniu z oderwaniem od „normalnego” rynku pracy (na którym zresztą wielu z nich nigdy nie było)? A może brak osobistych kontaktów z ludźmi „niskiego stanu” i ich doświadczeniami? Może warto, by ludzie wrażliwi chociaż trochę pożyli wśród biedoty, jak Orwell, który swoje doświadczenia zebrał w „Na dnie w Paryżu i w Londynie”? W każdym razie wszystkim „społecznikom” i społecznikom polecam posmakowania życia i pracy w naprawdę trudnych warunkach. Choćby przez wakacje.

Autor: Konrad Malec

Źródło: [Obywatel](#)